



KOŚCIÓŁ Ś.ŁJ ANNY KSIĘŻY BERNARDYNÓW.
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście.

KOŚCIÓŁ ŚLÉJ ANNY BERNARDYNÓW

NA KRAKOWSKIÉM PRZEDMIEŚCIU (*).

Dzieje zachowały nam o początkach kościoła bernardynskiego w Warszawie następującą wiadomość: — Anna, wdowa po Władysławie książęciu mazowieckim, znajdowała się w Krakowie na uroczystościach weselnych króla Kazimierza z Elżbietą rakuską i na ślubie, który dawał królestwu sławny świętobliwośćią Jan Kapistran zakonnik braci mniejszych. Dziewięć miesięcy przepędził natchniony kapłan w stolicy od króla i od kardynała Zbignie-

(*) Kościół bernardynski w Warszawie nie ma żadnej o sobie drukowanój kroniki, ale ma pisaną pod tytułem: „*Fulera antiquitatis et posteritatis, id est, archivum conventus varsoviensis fratrum minorum observantium ad S. Annam in suburbio cracoviensi compilatum, opera F. P. Joannis Kamińskiego, provinciae ejusdem ex-Ministri ac Chronologi, anno 1729. Liber primus archivi ab anno foundationis*“ Jest to książka prześliznie i wyraźnie napisana, która rok za rokiem wspomnienia klasztoru podaje, wprawdzie bez żadnej krytyki, ale zawsze ma wysoką wartość z tego powodu, że wszelkie przywileje, ugody i listy prywatne dotyczące klasztoru, jakie miał jeszcze w r. 1729 Kamiński pod ręką, tutaj w ciągu opowiadania swojego pomieścił. Wyznajem, żeśmy wiele tutaj winni temu sumiennemu chronologowi. Jest wprawdzie i drugi tom onych *Fulera* (tytuł cały jak wyżej): zaczął go za gwardyjaństwa Józefa Górskiego spisywać „*F. P. Ant. Kunin dignus praedicator glis, ad M. D. gloriam, proximi uti-litatem et sui contemptum*“, kronikę tę od r. 1531 prowadził, ale już bez żadnej wartości.

wa z wielką czią zawsze podejmowany, nieustannie lud nauczał z umyślnie na ten koniec urządzonój kazalnicy przy kościele świętego Wacława, i cuda czynił, co zawsze niezmierne tłumy ludu ścigało ciągle do Krakowa. Kardynał Zbigniew zbudował przez wzgląd na cześć tego świętego męża, kościół Ś-go Bernarda przy zamku i oddał go braciom mniejszym, a zapal, jaki z tego powodu ogarnął ówczesną młodzież polską do nowego zakonu, był tak wielki, że w krótkim przeciągu czasu przeszło do sto osób przyjęło kaptur i suknię, a w ich liczbie i Jan z Mielsztyna, świetnego rodu i wielkich dostatków młodzieniec. Od kościoła ś-go Bernarda zakon w Polsce bernardynami zwać poczęto.

Księżna Anna podzielała razem z innemi cześć dla świętobliwego męża Kapistrana, i zaraz na miejscu zaczęła go prosić, żeby kilku zakonników dał jój do Warszawy, gdzie również pragnęła im wystawić klasztor. Usłuchał Kapistran i dał księżnie sześciu braci ś-go Franciszka, nad któremi przełożył ojca Jakóba z Głogowy. Ci zakonnicy towarzyszyli księżnie w podróży z Krakowa do Warszawy. Za przybyciem do stolicy Mazowsza, niedaleko zamku, po za murami jednak miasta, kazała Anna kopać fundamenta dla nowego kościoła, który od imienia swojej patronki na cześć ś-tój Anny chciała wystawić. Ale, podanie mówi, że ziemia raz wraz usuwała się pod kopaczami, i księża bernardyni coraz z większym żalem zaczęli się przekonywać, że gruntu dokopać się nie można; już byli w rozpacz, kiedy nagle ś-ta Anna ukazała im się, a zachęcając do pracy, kazała nie zważać na trudności i coraz głębiej kopać. W istocie, tą razą nie zawiedli się i zakonnicy i pobożna założycielka, bo trafiwszy wreszcie na grunt stały, założyli mocne zaraz posady budowie, która się wzniosła piorunem, z cegieł murowana. Stanął kościół wprzód, a potem klasztor. Kiedy roboty skończono, biskup poznański, którym był wtedy Jędrzej z Bnina Opaliński, uroczyście do gmachów wprowadził zakonników na dniu ś-tój Barbary, to jest 4go grudnia 1454 r. Takim sposobem klasztor warszawski był

drugim bernardyńskim w całej Polsce. Z Krakowa i z Warszawy rozeszli się bracia ś. go Franciszka dawniej reguły (de observantia) po całej Koronie i Litwie, a rośli tak prędko u nas w klasztorach, że niedługo poczęli myśleć o wydzieleniu się na osobną prowincyją, gdy dotąd jedność razem z Austryją i Czechami składali. Wzrostowi zakonu wiele sprzyjała ta okoliczność, że pomiędzy bernardynami polskimi znajdowało się wtedy wielu mularzy, budowniczych i wszelkiego rodzaju sztukmistrzów, tak dalece, że nie w jednym miejscu mogli budować klasztory nawet bez pomocy świeckich ludzi, przy opiece tylko dobrodziejów. Klasztor warszawski i z tego powodu jest w dziejach zakonu bernardyńskiego pamiętny, że w nim wiele odbywało się pierwotnych kapituł, które wszelki wpływ wywarły na losy tego zgromadzenia w Polsce; jakoż najważniejsze wypadki i urządzenia dotyczące się karności, praw i rzędu samego, po większej części obmyślane bywały w Warszawie, tak w XV wieku jak i w późniejszych, bo najprzód Warszawa była więcęć środkowym punktem kraju, a potem została stolicą, i dla tego właśnie ściagała na siebie więcęć niż inne miejsca uwagę starszyzny zakonnój.

Wydzielenie się prowincyi polskiej z austryjacko-czeskiej, nastąpiło wprawdzie na kapitule w Krakowie 1467 r., ale Maryjan z Jeziorka wybrany tam prowincyjałem polskim, zjechał zaraz do Warszawy, gdzie złożył kapitułę (na d. 6 stycznia 1468 r.) i ogłosiwszy swoją władzę, do nowo założonych klasztorów, to jest: do Wilna, Radomia, Łowicza i Warty, powybierał ze starszymi ojcami gwardyjanów. Z temi nowemi klasztorami, zakon już liczył w Polsce szesnaście kościołów. Maryjan z Jeziorka obrany prowincyjałem i na drugiej kapitule w Warszawie, na której stanął kościół tykociński (1480 r.), myślał jeszcze o podziale prowincyi na kustodyje, i starał się o to w Assyżu na kapitule jeneralnej przez posłów (1487), bo sam jako starzec, nie mógł już przedsiębrać tak dalekiej podróży. Stąd, za powrotem posłów z Assyża, w klasztorze warszawskim zebrała się trzecia kapituła,

na której już prezydował następca Maryjana w godności, Władysław z Gielniowa: prowincyją ogromne przestrzenie kraju obejmującą, rozdzielono tutaj na trzy kustodyje, których stolicami zostały podług trzech wielkich kawałów Rzeczypospolitej: w małej Polsce Kraków, w wielkiej Polsce Poznań, w Litwie zaś Wilno. Warszawa przegrała tutaj sprawę z Poznaniem, bo podług wszelkiej sprawiedliwości jej się należało pierwsze miejsce w kustodii, ile że założenie klasztoru warszawskiego o dwa lata uprzedziło klasztor poznański. Ale tą razą Warszawa dla tego pewnie przegrała sprawę, że była miastem mazowieckim, a więc czemś obcym i zagranicznym w całej polskiej ojczyźnie, w Koronie.

Nieczmiernie piękne były początki zakonu bernardyńskiego w Polsce. Świętobliwi, bogobojni mężowie szeroko sławę pobożnego zgromadzenia roznieśli. Nie mówim już o samym ich założycielu u nas Kapistranie, który świętym został, bo oprócz niego, zakon na wiele nieskalanego życia ludzi, mógł z dumą jako na swoich członków ukazać. Klasztor warszawski ma z tego również chlubę, bo ci ludzie potulni piastowali z kolei w nim godności miejscowe, lub tutaj z nad Wisły zarządzali sprawami całego zgromadzenia. Do tych ludzi należy Jakób z Głogowy, który przed czasem wydzielenia się trzech prowincyj, był ostatnim wszystkich trzech wikarym i Rafał z Proszowie, człowiek, który świętobliwością życia szeroko zasłynął. Podobny jemu świętobliwością był ojciec Ludwik z Warki i braciszek Ludwik z Koźła, których ciała tu w kościele warszawskim spoczywają; dalej Maryjan z Jeziorka (um. 1490), błogosławiony Michał Bal, a co najważniejsza, Władysław z Gielniowa, jeden z dzisiejszych świętych patronów ziemi polskiej.

Żaden klasztor bernardyński w Polsce nie ma tyle wspomnień po błogosławionym Władysławie z Gielniowa co warszawski. Najpierwsze dzieje naszego kościoła już się związały z tym imieniem i ciągle je powtarzają. Całe prawie życie świętego spłynęło w Warszawie, i prac jego apostołskich świadkiem

był ciągle nasz klasztor przez lat kilkadziesiąt. Kościoła warszawskiego Władysław z Gielniowa jest pierwszą i największą znakomitością. Syn mieszczanina z ziemi opoczyńskiej Piotra, przybył do Warszawy Władysław młodzieńcem i tutaj w klasztorze ś-tój Anny przyjął suknię zakonną (1 sierpnia 1468). Tutaj przechodził po wszystkich stopniach zakonnych godności, aż stanął na pierwszym. Tutaj święte składał polskie i łacińskie pieśni, które potem lud pobożny i zakonnicy nucili po nabożeństwach lub po kazaniach w kościele (np. pieśń „Jezusa Judasz sprzedał, Jezus Nazarenus rex Judeorum, Exurgat et auferat gentes paganorum“ i t. d.), tutaj złożył prowincjalstwo na kapitule 1490 r., świeżo co powróciwszy od generała z Urbinu, i władzę swoją przekazał Michałowi Bałowi, także świętobliwemu zakonnikowi, który z zarazy umarł w r. 1495. Władysław nabył tak przeważnego wpływu w swoim zakonie, że chociaż złożył dostojność swoją, zawsze bernardyni uciekali się do jego rady i opieki; ciągle im też przewodniczył i żadnej pracy się nie lękał, żył jedynie poświęceniem się i pobożnością. Przeciw Turkom głosił krucjaty. Gromadził kapitule do Warszawy, na których obierano prowincjalów (1499 r.) Zakon, kiedy już dobrze Władysław zaszedł w lata, chciał mu dać spokojność, żeby odpoczął po tylu trudach, i dla tego pozwolił ojcu wybrać sobie jakie miejsce na mieszkanie i chciał braciszka jakiego wyłącznie do usług mu wyznaczyć. Ale się przeląkł tych próśb świętobliwy Władysław; przyśiągł zakonowi na posłuszeństwo i pracę, więc odpoczynku nie chciał, za wszystkie wygody podziękował i prosił o pracę. Obrany więc w Krakowie 1504 r. gwardyjanem warszawskim, jeszcze i kaznodziejstwo w klasztorze ś-tój Anny przyjął, ale były to już ostatnie błogosławionego prace. Jest podanie, że na wielki piątek miał ojciec Władysław w kościele swoim kazanie o męce Pańskiej, na którym się znajdowała ogromna moc ludu, nabożeństwo się przeciągnęło późno w noc, bo kaznodzieja wpadł w tak niezwykle zachwycenie, że nawet podniósł się nad ambonę: wy-

silenie spowodowało chorobę, miesiąc Władysław cierpiał, aż wreszcie zakończył ziemski swój zawód w dniu 4 maja 1505 r. Tutaj śmierć znalazł, gdzie przywdział zakonną sukienkę. Pracował w zakonie lat 40 i 9 miesięcy. Warszawa płakała zgonu świętobliwego męża, którego zakonnicy pochowali w środku chóru. Niedługo nad grobem jego zasłynęły cuda (*).

We dwa lata po śmierci Władysława pożar nawiedził kościół bernardynów warszawskich. Łatwo spalił się mur tak nazwany pruski. Gwardyjan Antoni z Biecza wziął się do odbudowania Domu Bożego, z podstaw zaczął murować najprzód klasztor, a w nim refektarz i kuchnię: pieniędzy dostarczał jakiś Baltazar mieszczanin warszawski (1510 r.). Następca jego Jan z Komorowa, pierwszy dokładniejszy chronolog prowincyi, dokończył odbudowy; wystawił kościół, klasztor na dole i na górze, po nad całym gmachem zarzucił wiązania i dachy, ale zaledwie skończył pracę, we dwa lata nowy pożar i tą razą już z umyślnego podpalenia wynikły, w którym zgorzało całe prawie przedmieście, zniszczył klasztor bernardyński z kościołem. Komorowski pojechał na kapitułę do Samborza skarżyć się i ubolewać nad nieszczęściem i tutaj mila go spotkała niespodzianka (1515 r.), albowiem Beata z Tęczyńskich Odrowążowa wojewodzina ruska, która założyła i zbudowała po raz drugi klasztor bernardyński w Samborzu, popierała silnie na kapitule sprawę kościoła warszawskiego; jednocześnie z ofiarami na ten cel zgłosili się księżna Anna Radziwiłówna, wdowa po Konradzie mazowieckim i Jan Lubrański biskup poznański. Komorowski obrany na nowo w Samborzu gwardyjanem warszawskim, wrócił do naszego miasta i zajął się gorliwie trzecią już odbudową kościoła, co naturalnie

(*) Następne kapitule, o których w tekście nie ma wzmianki, a które podług chronologii ks. Kamińskiego, odbywały się w klasztorze warszawskim, miały miejsce w latach: 1495, 1503, 1523, 1538, 1554, 1585 (na tej kapitule znajdował się kommisarz jeneralski Annibal Rosselli). Na kapitule tutaj odbytej 8 sierpnia 1602 r. przyjęto fundacyą w Kalwaryi Zebrzydowskiej. Inne kapitule 1611, 1703 i t. d.

przy takich pomocach przyszło mu bardzo łatwo. Napływ ten ze wszech stron ofiar dobroczynnych, (bo i mieszczanie warszawscy rozlakomieni pobożnością, zaczęli zbierać składki i jałmużny na fabrykę) był powodem, że w ciągu budowy już tworzyły się nowe dla ozdoby świątyni pomysły i że sama budowa przeciągnęła się na dłuższe lata, jak wyrokowano. Komorowski nie skończył stawiać gmachu, ale nastąpili po nim inni gwardyjanie, którzy ciągnęli dalej rozpoczętą robotę. Księżna Anna mazowiecka szczególniełożyła na sam kościół. Rozszerzony znacznie, podzielił się teraz kościół na trzy nawy, bo do dawnych trzech kolumn na prawo, które jeden bok świątyni stanowiły, księżna kazała dostawić trzy na lewo i takim sposobem drugą nawę boczną wzniosła. Kościół przez to z małego stał się przestronnym, z dosyć skromnego piękniejszym i wspanialszym; jedném słowem, stał się jak powiada kronika kościelna, lubująca się w makaronicznego czasu ozdobach stylu i dowcipach „ex angusto templum augustum.“ Biskup Lubrański zaś zbudował jako wielki przyjaciel bernardynów mniejszą nawę, czyli chór z nakryciem i sklepieniem. Księżna Anna nie doczekała końca odbudowy, ale umierając (15 marca 1522 r.), zapisała jeszcze tysiąc złotych na fabrykę. Pochowano ją za to w kościele u bernardynów i grobowiec z pięknym napisem umieszczono w ścianie na lewo od wielkiego ołtarza, zaraz przy stallach. Naturalnie, synowie powinni byli spłacić kościołowi dług matki. Stanisław oddał swoje pięćset złotych, ale Janusz opętany przez złych (znówu wyrażenie się kroniki klasztornej), dał tylko dziewięćdziesiąt, żądał jednak kwitu od kościoła na całą sumę: trudno się było oprzeć władzy panującego księcia. Janusz otrzymał więc kwit od syndyka w imieniu po raz trzeci obranego gwardyjanem warszawskim Komorowskiego. Cała budowa ukończyła się wreszcie w r. 1533. W tym przeciągu czasu klasztor warszawski razem ze lwowskim na kapitule lubelskiej podniesione zostały do stopnia klasztorów kustodyjalnych (1518). Jednocześnie z tém prawie, o kilka lat później głód i za-

raza srożyły się w Warszawie, a kiedy ustaly, lud przypisywał to opiece nad miastem świętobliwego Władysława z Gielniowa (1522).

W ciągu pół wieku tak ogromnie w oczach ludu wyolbrzymiała postać, a w wyobraźni ludu tak wszechmocnie rozwieliła się pamięć cnót i zasług prostego zakonnika, że Władysławowi z Gielniowa publiczną już część w tutejszym kościele oddawać zaczęto. Odgłos ogólnego uwielbienia dla tej pamięci przeniknął do wyższych nawet sferspołeczeństwa; zajęło się tą sprawą zaraz duchowienstwo, wreszcie postanowiono podnieść ku czci publicznej z grobu kości świętobliwego męża. Głównym popieraczem tej myśli był zacny i katolicki prawdziwie biskup, sławny w dziejach Stanisław Karnkowski. Sam obrzęd podniesienia odbył się z wielką wystawnością. Na ten cel Karnkowski uprosił dla siebie pozwolenie dwóch nuncyuszów, którzy się wtedy znajdowali w Polsce, to jest kardynałów Commendoniego i Portica, uprosił także biskupa poznańskiego, że mu pozwolił rozporządzać się tem w swojej dyecezyi. W czasie sejmku, w obec króla, Anny Jagielonki, obudwu kardynałów włoskich, w obec senatu, biskupów, posłów i masy ludu, Karnkowski dopełnił uroczystego obrzędu (1572). Podanie mówi, że gdy z rozkazu biskupa kamień z sarkofagu podjęto, kości świętobliwego ujrzeli wszyscy na wierzchu grobowca pod samym marmurem nie zaś w grobie jak były pochowane; obmyto je w winie, zamknięto, opieczetowano i złożono w ścianie na prawo od wielkiego ołtarza; zawałono dalej wielkim kamieniem to miejsce, na kamieniu obraz wyrżnięto leżącego Władysława, u góry nad nowym grobowcem powieszono inny jego obraz malowany na drzewie; na prawo zaś od tego pomnika zaczęto budować ołtarz, który się wkrótce przemienił w osobną kaplicę, i na tym ołtarzu msza święta codziennie odprawiać się zaczęła (*). Żył jakiś w tej epo-

(*) Chronograf ks. Kamiński powiada, że uroczystość podniesienia odbyła się w oktawę 5-tęj Anny i w czasie sejmku 1572 r. Są to dwie jasne sprze-

ce w zakonie kaznodzieja i poeta doskonały ksiądz Fabijan Orzeszkowski, który prawie dotykał się błogosławionego, a przynajmniej żywe o nim znalazł jeszcze podania u bernardynów. Ksiądz Fabijan pierwszy napisał życie jego i Rafała z Proszowic, czém się bardzo wiele do sławy pobożnego zakonnika przyłożył.

Największymi w tym czasie dobrodziejami kościoła bernardyńskiego pokazują się ów biskup kujawski niedługo potem książę prymas Karnkowski, i królowa Anna Jagiellonka. Prymas zachował do tego stopnia cześć dla wyznawcy, którego zwołali podniósł w naszym kościele, że u bernardynów obierał sobie mieszkanie, ile tylko razy bawić mu przychodziło w Warszawie. Stał tutaj w czasie owój burzliwej elekcji po Stefanie Batorym (1587). Zborowscy chcieli go uwieść z klasztoru, gdy się oświadczył przeciw Maksymiljanowi, dla tego w nocy do tego wyznaczonej spuścili Wisłą pod kościół bernardyński łódź, ale baczne oko Zamojskiego czuwało nad starcem prymasem: cały kościół osadził mocną załogą pod dowództwem Stanisława Pękosławskiego starosty sandomierskiego, a tymczasem prymasa przeprowadził do bezpieczniejszego schronienia do zamku. Spisek nie udał się tą razą, ale kiedy potem Maksymiljaniści królem swoim arcyksięcia ogłosili, zwała się nazajutrz po tej elekcji (w niedzielę to było) wielka na kościół bernardyński nawala (23 sierpnia). Chcieli Rakuszanie śpiewać *Te Deum* w kollegijacie, ale gdy ich do miasta nie wpuszczono, bo już po rannéj mszy było, udali się na przedmieście i oswladnęli nagle kościołem 8-téj Anny. Znajdowali się w tym orszaku posłowie rakuscy i hiszpańscy, biskupi, wiecy panowie i szlachta stronnictwa niemieckiego. Kardynał Radziwiłł śpiewał mszę świętą, a marszałek nadworny Zborowski ogłosił w kościele tutejszym królem polskim Maksymiljana. Nie dobra była wróżba panowa-

czności: w oktawę 8-téj Anny tego roku już od dwóch tygodni nie żył Zygmunt August.

nia Maksymilijanowego, bo się w Te Deum śpiewając elektorowie pomylili. Kardynał Gaetano kiedy bawił w Warszawie, bywał także z Karnkowskim na nabożeństwie u bernardynów (1587); raz w zapusty (18 lutego) towarzyszyło mu tutaj wiele biskupów, był wtenczas i sławny Dymitr Sulikowski; wszyscy przez uszanowanie dla legata pozostawiali w domu swoje czapeczki, jeden tylko Karnkowski przyszedł w swojej, co zgorszyło sekretarza księdza Gaetano do tego stopnia, że aż sam legat musiał go uspokajać, i dowodzić że do takiego honoru chociaż przy legacie arcybiskup gnieźnieński ma prawo; w dwa dni potem po mszy u bernardynów (20 lutego kardynał w klasztorze czekał uwiadomienia rychło ma się udać do izb sejmowych, żeby się przed nimi wynurzyć z celów swojego poselstwa.

Pięknym nazywa konwent ojców bernardynów za bramą sekretarz Gaetana Mucante. I pięknym, wspaniałym, uderzającym musiał być gmachem na całym przedmieściu ów kościół, kiedy w ówczas nadawał nazwisko całej części miasta po za bramą krakowską znacznie rozszerzonego. Za książąt mazowieckich otaczały kościół nasz zewsząd pola i ogrody, potem dworki i chalupy zaczęły tworzyć ulicę, którą Czerską przezwano; z ulicy tej powstało całe przedmieście Czerskie; a gdy dawna stolica książąt upadła przed Warszawą, już ku końcowi r. 1499 całe to przedmieście nazwano od naszego kościoła bernardyńskim i nazwisko to utrzymało się aż do czasów Zygmunta III. Jeszcze w r. 1582 akta miejskie tę całą okolicę miasta zowią: suburbium bernardinorum, seu cracoviensium. Od tego czasu, coraz piękniej zaczęła się zabudowywać Warszawa, i przedmieście jęj coraz szerzej zakreślać się po nad Wisłą zaczęło; dla tego powoli i nazwisko stare ginie; wtedy z upływem czasu zostaje się tylko wyłącznie po za bramą ku Krakowu prowadzącą, przedmieście krakowskie. Do wspomnień kościoła z końca XVI w. i to należy, że przed nim na placu odbywały się hołdy margrabiów brandenburgskich.

Powiedzieliśmy że królowa Anna była drugą dobrodziejką

pięknego kościoła bernardyńskiego na przedmieściu. Za jój albowiem staraniem przybyło wiele życia, wiele ozdoby temu kościołowi, przez zaprowadzenie do niego bractwa ś-ćj Anny. Sama królowa przepisała ustawy (1582), które potem cokolwiek zmienił kardynał Bologneti (1584). Nim jeszcze uroczyscie do kościoła wprowadzono bractwo, Anna robiła wszystko, żeby od razu postawić je na szczycie wziętości; podarowała bractwu krzyż wielki srebrny, pozłacany, z relikwiami swojej świętej patronki i dyamentem na wierzchu, który potem za wojen szwedzkich zaginął. Za staraniem królowej zapisywali się do tego bractwa panowie, mieszczenie i kobiety; arcybiskup Solikowski w jego sprawach pojechał do Rzymu, przywiózł przywileje i odpusty, nareszcie sam król Batory i kardynał Radziwiłł wdali się w tę rzecz i uroczyscie już nie bractwo, ale arcybractwo ś-tćj Anny wprowadzili do bernardynów. Bulla na to papieżka wydana dnia 22 października 1586 r. Przyjęcie zaś jój nastąpiło przez Michała Sławieńskiego kanonika i oficjaję poznańskiego już w czasie następnego bezkrólewia (17 września 1587). Królowa Anna zostawszy wdową, całkiem się oddała modlitwom i praktykom religijnym: nabożeństwo tedy arcybrackie, które co wtorki odbywało się w tym kościele, zawsze ją widziało, nie dla tytułu albowiem przyjęła w niem królowa urząd opiekunki i przełożonej. Przez cześć dla majestatu kościół zawsze był pełny, a pobożna pani zachęcała wszystkich, żeby zapisywali się do bractwa; upominała tych, którzy nie pilni byli w modlitwie, spostrzegłszy zaś czyją nieobecność, posyłała umyślnie pytać się o przyczynę, sama winnych strofowała i rzeczywiście za jój czasów bractwo kwitnęło, szczególnież panny miejskie odznaczały się świętą gorliwością. Niedługo za danym wzorem zawiązało się w kościele tym drugie bractwo muzyczne, (chordi-gerorum) ś-go Franciszka, uprzywilejowane przez jenerała zakonu, a wprowadzone tutaj r. 1600 i do ołtarza ś-go Franciszka przywiązane. Odtąd cała oktawa i tego patryjarchy, obchodziła się uroczyscie; bracia

po między innemi powinnościami, przyjęli na siebie obowiązek biczowania się podczas postu.

Królowa Anna samym bernardynom zostawiła po sobie pamiątkę. Przy kościele świeżo przyozdobionym, wzniosła okazałą dzwonnice ze sławnemi w całej Koronie dzwonami (1578 r.). Wyznaczyła ze swoich folwarków warszawskich stałą jałmużnę zakonnikom, to jest 60 korey żyta co 5-ty Marcin, po złotemu co piątek, i wolny wręb do lasów brudnowskich, to jest zwyczajową od lat dawnych jałmużnę, pobożna ta pani zmieniła w prawo przez osobny na to wydany przywilej (w Warszawie 30 listopada 1582). Król Stefan nadanie to zatwierdził. Zygmunt III zaś do tego wsparcia dodał jeszcze dla zakonników po sześć kawałów (tunnas) soli z żup warszawskich (16 października 1590 r.), i jeszcze kazał osobną dla zakonników w Brudnie łakę wymierzyć (1601). Następni królowie zapis ten równie zatwierdzali (1635, 1649, 1679 i t. d.). Spółcześnie bernardyni nabywszy od kolegiaty gruntu nazwanego Nasierowskim, bo kanonikowi tego nazwiska podarowany niegdyś był od książąt mazowieckich, a dawszy za to kolegiacie inny, rozprzestrzenili znacznie swój cmentarz, na którym chowali zmarłych (1596).

Kardynał Jędrzej Batory wyrobił w Rzymie u Sykstusa V, ważny przywilej (z d. 1 sierpnia 1585) dla tego kościoła, że ile razy ksiądz odprawi jaką mszę żalobną tutaj przed ołtarzem boleści Najświętszej Panny, tyle razy dusza, za którą się modli, dostępuje zupełnego odpustu.

W ostatnich latach przed pierwszą wojną szwedzką słychać u bernardynów już tylko o staraniach względem kanonizacyi Władysława z Gielniowa i o wewnętrznych sporach, które zresztą dotyczyły losu całego zgromadzenia. Według podania, w roku 1610 relikwije błogosławionego same się otwarły, więc je do innej przeniesiono urny i to głównie było powodem dla czego zgromadzenie warszawskie mocno zabiegać zaczęło o kanonizacyją. Jerzy Godziszewski prowincjał prosił biskupa Wężyka, żeby

upoważnił śledztwo względem cudów, które się zdarzały nad grobem świętobliwego zakonnika. Ale najgorliwszym popieraczem pobożnej myśli był ksiądz Wincenty Morawski, jeden z głosnych w ówczesnej Polsce zakonnych literatów, lektor teologii, definitór prowincyi i t. d. Śledztwo zaczęte w kościele bernardynskim (2 marca 1627), w ośm miesięcy ukończone zostało (30 października). Ale tymczasem, kiedy we Włoszech, w Niemczech i we Francyi wewnętrzne niesnaski rozdzielały braci ś-go Franciszka na dwa obozy, kiedy zakon rozszczepiał się na reformatów i bernardynów, pojawił się i w Polsce ksiądz Antoni Strozius kommissarz jeneralski zreformowanych braci i z hałasem zaczął objeżdżać klasztory, gwałtem wszystkich bernardynów nakłaniając ku reformie, czém wielkie wywołał zgorszenie i nieukontentowanie. Jeszcze w roku zeszłym nakazał Strozius kapitułę do Warszawy, która się w istocie zebrała tutaj (31 lipca do 19 sierpnia 1626 r.). Strozius długo ją przeciągnął, ale niczego nie dokazał, bo miał do czynienia z bardzo gorliwym obrońcą swojej reguły, zaenym i pobożnym prowincyjałem Godziszewskim, następcą Leonarda Starzewskiego. Kiedy się bernardyni opędzili Stroziusowi nie mogli, odwołali się do Rzymu, bo nuncyatura nie przyjęła od nich appellacyi. Strozius rzucił na zakonników klątwę i jak powiada ks. Kamiński, turbato potius quam soluto capitulo, przeniósł się do reformatów warszawskich. Pojechał do Rzymu ojciec definitór Remigi Lasocki i usprawiedliwszy swoich przyniósł nakaz do nuncyjusza, żeby starał się pogodzić pogniwanych na siebie braci ś-go Franciszka. Chciał tego nuncyjusz ale spotkał opór: reforma albowiem myślała w Polsce znosić obserwantów, obserwanci zaś nie chcieli przyjąć reformy zalecanej przez Stolicę apostolską. Król sprowadził Reformatów do Polski, radby więc im pomagał. Wtedy to powstała myśl rozdziału prowincyj na kilka, myśl którą Strozius z zapalem pochwycił, bo podzieliwszy obserwantów na kilka części, sądził, że prędzej jedność ich potem rozerwie. Rzym więc nakazał na rok na-

stępną nową do Warszawy kapitułę, żeby tę rzecz ostatecznie rozbić, a tymczasem Strozius mógł nadrabiać z nuncyuszem i ze swojemi stronnikami. Kronika klasztoru warszawskiego wiele kart poświęca przebiegowi tej sprawy tak żywotnej dla zakonu. Przytacza wiele listów, jakie w tej materii do Rzymu do papieża, do kardynałów i do wielu bardzo ważnych osób pisali król-wie Władysław, kanclerz Albrycht Stanisław Radziwiłł, starosta leżajski i t. d. (wszystkie z Torunia 27 i 28 sierpnia 1626 r.). Skarża w nich Stroziusa i bronią w ogóle bernardynów. Kapituła odbyła się w Warszawie 19 lutego 1628 r. Prezydował na niej nuncyusz Santa Cruze. Podzielono bernardynów polskich na cztery prowincyje: to jest na małą, wielko-polską, litewską i ruską. Warszawa dostała się najprzód do prowincyi ruskiej, ale we dwa lata potem klasztory litewskie i ruskie połączyły się na powrót w jedność z mało-polskimi; gdy wielko-polska do tego przystąpić nie chciała, klasztory mazowieckie z Warszawą i pruskie wcielone ostatecznie do prowincyi Wielko-polskiej (1630).

Takie niepokoje, łatwo to pojąć, odwlekły bardzo sprawę błogostawionego Władysława, ale jej nie opóźniły, bo bernardyni warszawscy mogli przytaczać na swoją obronę coraz nowe dowody. Kanclerz Kryski był wielkim dobrodziejem i w ogóle całego zakonu i w szczególności naszego klasztoru ś-jej Anny. Po śmierci więc jego, wdowa kanclerzyna pobożna pani, przez cześć dla tej miłości mężowskiej, zaczęła budować obok wielkiego ołtarza po stronie ewangelii nową kaplicę, a pod nią grobowiec rodzinny dla Kryskich. Ciała jej męża i jej samą tutaj w podziemiach spoczywają. Kaplica ta później poświęcona błogostawionemu Władysławowi, ale kiedy właściwie stanęła i kiedy oddana ś-mu Władysławowi, śladu pewnego nie ma. Domyślają się tylko mniej więcej prawdopodobnie, że powstała w ciągu tych zatargów z reformatami (w r. 1629) i że dopiero po wojnie szwedzkiej przyjęła swój tytuł dzisiejszy. Kanclerzyna codziennie wielkie jałmużny sypała dla klasztoru: prócz tego 30,000 magistratowi toruńskiemu zapisała

pod warunkiem, żeby cały procent od téj summy (1500 złp.) co roku płać na potrzeby kościoła bernardyńskiego w Warszawie (1649). Bernardyni nie mogąc zbierać kapitałów, zapisu tego się zrzekli później na rzecz wykonawców testamentu, prosząc tylko o jałmużnę (1674). Obok Kryskiej nie można zapomnieć królowej Konstancyi, która zastąpiła w tym kościele Annę Jagiellonkę. Dawała tutaj częste jałmużny, nie opuszczała nigdy nabożeństwa w dzień ś.ój Anny i ś-go Fanciszka. Pomyliliśmy się: nie Konstancyja, a raczej oboje królestwo kochali się w bernardynach. Zygmunt Waza wiele im świadczył, przysyłał do klasztoru raz jałmużnę, a drugi raz ryby albo śledzie, raz suknie zakonnikom sprawiał, drugi raz sprzęt bogaty. Bernardyni sami powiadają, że nigdy od niego z próżnemi rękoma nie odeszli. To też kiedy umarła królowa Konstancyja, bernardyni ciągle przy jój ciele śpiewali godzinki, aż póki ciała nie odwieziono do Krakowa, tak król kazał; kiedy król zaś umarł, pełnili też powinność przy jego znów ciele i ciału temu towarzyszyli do Krakowa, bo tak Władysław nowy pan nakazał. Ze śmiercią też Zygmunta III zaginął i ów przywilej Anny Jagiellonki dla bernardynów; potwierdzanie przywileju albowiem było już nadal czerzą tylko formą (*).

Sprawa błogosławionego Władysława i spory z reformatami przeciągały się. Biskup Łubieński kazał raz jeszcze otworzyć grób wyznawcy i kości jego przelożyć do świeżo zrobionéj cynowéj skrzynki (11 sierpnia 1630 r.). Inny biskup Nowodworski rozpoczął w Warszawie nowy proces o cudach i cnotach jego (15 listopada 1632 r.). W pierwszym i w drugim razie prałaci kollegiaty czynnie występowali. Ksiądz Morawski wydał tymczasem życiorys błogosławionego Władysława; książce swojéj dał tytuł „mistycznój latarni doskonałości“, *Lucerna perfectionis* (1633); de-

(*) Ostatni raz przywilej Anny Jagiellonki zatwierdził August II w przywileju, w którym podarował też bernardynom całą przestrzeń ziemi, jaka się ciągnęła od ogrodu klasztornego w dół aż do Wisły (29 maja 1700). Patrz Fulera i t. d.

dykował ją zaś królowi Władysławowi IV. We dwa lata potem otwarto znowu ciało Władysława (1635).

Nowe intrygi w Rzymie, żeby obserwantów z reformatami połączyć, sprowadziły zjazd w Warszawie w roku 1636 starszyzny zakonnej, ale rozbiły się w niwecz. Prowincyjałem tutaj gwardyjan warszawski obrany ksiądz Bonawentura Lutocki, odznaczył się nowemi budynkami w klasztorze i w kościele: wystawił groby podziemne w chórze i wielkiej nawie. Na sześćdziesiątnicę roku następnego znowuż u bernardynów warszawskich zjazd wielki; radzą bracia świętego Franciszka obudwu regul: ci chcą jedności, a ci rozłączenia. Uplynęło cztery tygodnie w tajnych naradach, w końcu jedna tylko odbyła się publiczna sessyja, na której spisano protokół stanowczy rozłączenia się dwóch zakonów. Wtedy to ustąpili bernardyni części gruntu swojego na pałac marszałkowi Kazanowskiemu; marszałek nie płacił czynszu klasztorowi, ale obiecał łaskę swoją i jałmużny, a wreszcie miał murem całe zabudowania zakonników otoczyć, czego wszystkiego jednak nie dotrzymał. Po Lutockim nowy następuje gorliwy budowniczy ojciec Ludwik, (kronika go zwie Zbąszynius, nie wiadomo czyli to złacińszczone nazwisko miejsca z którego gwardyjan pochodził, czyli to rodzinne jego nazwisko, w każdym razie nie będzie to potomek sławnego rodu Zbąskich i najprędzej nieszlachcie). Gwardyjan Ludwik w całym klasztorze na dolnych piętrach dał podłogę z kamienia w czworogran rżniętego, toż samo w kościele żeby uniknąć na przyszłość częstej naprawy i kosztów (1638 r.). Później już lektor jubilat Gąbinusz, jak go zwie kronika, w refektarzu taką samą ułożył podłogę. Na biblijotekę także gorliwy gwardyjan zwrócił swoją uwagę; zmalała ogromnie przez podział prowincyj, ale ją już poprzednio podniósł Godziszewski. Samo uporządkowanie biblijoteki przeszło 1,000 złotych kosztowało.

Nie wspominaliśmy jeszcze, że całą część klasztoru, która ciągnęła się do wielkiej bramy placu niegdyś przez kustosa

warszawskiego Pawła Lancio zabudowanego i przeznaczona dla zakonników których zwano „forenses“; za zgodą ojców ustąpioną została poprzednio na mieszkanie dla nuncyuszów. Wielką stąd była niewygodą dla klasztoru, bo bernardyni najprzód nie mieli nic z tego, a co większa na swoim własnym gruncie byli ścieśnieni. Więc kiedy wyjechał nuncyusz Filonardi, księży klasztorni zajęli napowrót swoją własność, którą do szczętu zniszczoną znaleźli i komnaty nuncyuszowskie przeznaczili dla swoich nowicjuszków. Król w Grodnie będąc zatwierdził najuroczyściej prawa klasztoru i od wszelkich ciężarów postoju uwolnił raz na zawsze bernardynów (11 listopada 1643). Ale kiedy jedną ręką król wyświadczał dobrodziejstwo, drugą nowy cios prowincyi całej gotował. Jakieś intrygi wpływały na to, że król się uparł i chciał w jedną napowrót złączyć rozdzielone trzy prowincyje bernardynów polskich; robił zaś to bez wiedzy generała i Rzymu. W tym celu przydywował tutaj w klasztorze warszawskim nuncyusz Torres na nową kapitule wszystkich trzech prowincyj (25 października 1647 r., narady trwały do 9 listopada). Czy ma być nowy podział prowincyj, czy nie; czy dawny stan rzeczy utrzymywany? oto pytanie, nad którym długo myśleli ojcowie; stanął wreszcie wyrok zastosowany do woli królewskiej, że połączenie prowincyj nastąpić ma. Mało-polscy bernardyni głównie na to nalegali; wielko-polscy bronili się, chodzili do króla, prosili, nie a nie nie pomogło; prowincyał wielko-polski był jak zabity, zląkł się wielkiej za to odpowiedzialności przed starszszyną w Rzymie, ale król mu powiedział: „nie bójcie się ojece, obronimy was.“ Mimo te wszystkie intrygi jedność nie przyszła do skutku, bo król umarł i zostało się wszystko jako było dawniej.

Nastaje krwawa wojna szwedzka: przed jej wybuchem powierzchowność kościoła w następny sposób wspomnienia współczesne nam opisują. Najprzód świadectwo bardzo ważne idzie Jarzemskiego, który pokolei wszystkiego dotyka: „na Krakowskiem Przedmieściu, mówi on, jest obszerny kościół oo. bernardynów, własność

ich rozciąga się aż po Wisłę. Sami nieboracy robią wszystko, ci w ogrodzie, inni w browarze, inni drzewo karują. W tym kościele jest wiele ołtarzy cudownych świętych, nad grobami senatorów i starostów wiszą proporce. Ambonę ogrodzili tak wysoką kratą, iż nie widać kaznodziei, gdy kazać wchodzi. Huczne organy, ogromna dzwonnica; tam dzwony biją, we dwie oktawie tak ślicznie, jakem nigdzie nie słyszał, lubo bywałem w Warce, w Gószczyńie, w Garwolinie, a nawet i w Czersku.“ Opisu tego dopełniamy wiadomościami poczerpniętymi z kroniki klasztornej. Kościół był ładny, sklepienie nad nim w luk zarzucone: na środku kościoła ze sklepienia spuszczał się orzeł drewniany złożony, dowód hojności królewskiej dla zakonników; liczne chorągwie spadały po ścianach według starożytnego zwyczaju, na nich zaś napisy i portrety bohaterów, których tu ciała na sen wieczny spoczywały. Obok wielkiego wznosił się już ołtarz błogosławionego Władysława z jego obrazem, a na nim ogromna moc wotów srebrnych, niektóre długie były na łokieć. Pomiędzy temi dwoma ołtarzami grobowiec wyznawcy muirowany, o ścianę chóru zakonnego oparty, na nim także niezmierna moc wotów złożonych na podziękowanie to za zdrowie powrócone, to jako hold dla cudownej siły, jaką słynęło to miejsce. Naprzeciw ołtarza błogosławionego Władysława, ołtarz 3-go Piotra z Alkantary z ładnym obrazem; od niego szły stalle zakonne i ciągnęły się daleko w chór starożytnej roboty, ale piękne; wiek dzisiejszy dziwi się tej sztuce, ale jój nie naśladuje. Kraty żelazne od dzielały te trzy ołtarze od reszty kościoła, w nich oddzielne drzwi do chóru, do wielkiego ołtarza i do grobowca błogosławionego; robił te kraty braciszek Feliks doskonały kowal. Przed niemi ołtarz N-szej Panny, na wzór Częstochowskiej, z dziecięciem Jezus na ręku, do którego pańowie i pospólstwo wielkie mieli nabożeństwo, i cały wotami także srebrnemi pozawieszali: świeża to była budowa, bo ołtarz ten wystawił książę Albrycht Stanisław Radziwiłł kanclerz litewski, pan jeden z najpobożniejszych w całej po wsze

czasy rzeczypolitėj; książę sprawił dwie korony złote, w Gdańsku wyrobione na głowy Pana Jezusa i świętėj Bogarodziecy, ozdoby zaś złote na tym oltarzu, łańcuchy i klejnoty pobożny lud pozawieszał. Organy śliczne, które tak Jarzemski zachwala, złożone, w różne kolory malowane, były fundacją wielu dobrodziejów. Był czas, że kościołowi przydawały jeszcze większego znaczenia bernardynki, które najprzód z początku w domu pomiędzy klasztorami ś-tėj Anny a bramą krakowską obsiadły, potém przyjęły regułę ś-ėj Klary, a wreszcie do zakonu ś-go Franciszka przyjęte, tutaj do bernardynów chodziły do kościoła, gdzie miały szczególne wyznaczone sobie miejsce; wreszcie za Zygmunta III. zdobyły się na klasztor i przeszły pod klauzurę zakonną. Jednym słowem kościół był cały wystrojony, co krok w nim napotykałeś na świętości, co chwila odprawiało się nowe jakieś i osobliwe nabożeństwo, kościół był wzięty w Warszawie i w całej Koronie.

Wojna szwedzka za Jana Kazimierza zamknęła tę złotą epokę dla kościoła bernardyńskiego w Warszawie. Najprzód sama rzeczpospolita położyła rękę na bogactwa klasztorne, bo na sto grzywien srebra pożyczyła od bernardynów, żeby je potém przekuć na monetę w Częstochowie, czego został dowód w świadectwie wydaném przez biskupa Tolibowskiego (1655).

Cudnym zrządzeniem Opatrzności, wtenczas kiedy inne świątynie warszawskie szwed łupieżył, uszanował kościół ś-ėj Anny. Nawet w czasie oblężeń kościół nie tyle pocierpiał, ile by się zdawało z tego, że na ciągły ogień był wystawiony. Zgorzało całe przedmieście, pałace i dworki, ale kościół osmołony i ostrzelany pozostał i jak pogrzebowa urna świecił po nad stosami rozwalisk. Wprawdzie szwedzi zbyt po swojemu w kościele i po klasztorze gospodarowali, do ogrodu bernardyńskiego zaciągali armaty, z okien strzelali, wprawdzie kościół zmienili na jakiś czas w fortecę, póki ich stamtąd Czarniecki przerzynając się od Gdańskiej piwnicy przez Podwale nie wypłoszył, stoczywszy wprzód mor-

derezą bitwę przed samym kościołem, ale zawsze gmach święty uragał się grozie wojennej i stał jakoby na straży miasta, sam jeden w pośród pustki. Ale czego nie dokazały szturm i oblężenia, na to zdobyła się jakaś nie dająca się niczem wytłómaczyć nieostrożność. Zakonnicy może mniej trafnie o złość umyślną posadzają rodaków, *patricios regni et civitatis varsaviensis*. Było to w r. 1657, kiedy miasto trzeci już raz z kolei oblężone było przez wołochów, węgrodów i kozaków Rakoczego. Warszawa kapitulując wchodziła już w układy, zaręczając sobie i kościołom wszelkie bezpieczeństwo. W tém nagle ni ztąd ni z owąd nachodzą kościół o godzinie ósmej rano zbrojni (16 czerwca): podesłała ich władza miejska, chociaż dobro publiczne nie wymagało już po nikim ofiary. Nie mówiąc gwardyjanowi, co mają robić w kościele, nie ostrzegłszy go, żeby wyniósł ołtarze i obrazy, bez zwłoki wykonywali rozkaz z góry już dany: zapalają więc pochodnie, i tłumnie z niemi i z materyjalami palnemi wpadają do kościoła, ciskają je na katedry i na konfesyjonały, potem na ołtarze, ażeby zaś większy rozniecić płomień, obrazy ze ścian obalają w środek pożaru. Inni pod belki podłożyli ogień. Pęka sklepienie i wali się na podłogę, ściany upadają, gruchoczą się mury, głównie u dołu i u góry błyskają. Ojcowie wśród tego ognia sodomskiego chodzą, płaczą i załamują ręce, uciekają się do proźby, ale nie pomaga. Stoi najęta tłuszcza i spokojnie przygląda się temu dziełu zniszczenia, pilnuje aż póki się wszystko nie wypali. Wyuzdańsi łupież nawet dzielą pomiędzy siebie, inni mało jeszcze mają i téj rokoszy, więc znoszą zkorytarzów obrazy, drzewo dźwigają, w stosy je układają i niecą pożar. Wtedy to zgorzała biblijoteka, „jakiż żaden klasztor w Polsce nie miał,” warta przeszło 30,000 złotych, nieustannie pomnażana przez dobrodziejów. W porównaniu z tą stratą, co znaczą te ogromne zapasy żywności, które klasztor z hojnej jałmużny, przygotował dla siebie, na zapas oszczędzone? Część się ich spaliła, część z wapnem i cegłą pomieszana do niczego posłużyć nie mogła. Oburzenie, jakie

obudził tak niecný postępek, było w Warrszawie tak silne, że wróg nawet kazał śledzić, czy kto z jego ludzi nie miał udziału w pożarze i odgrażał się, że jeżeli odkryje winnego, szubienicą go ukarze, bez względu na wiek i osobę. Siedmiogrodzianin wychodząc z Warszawy oświadczał, że nie ustąpi wprzód, aż skarze winnych; i odszedł indignabundus, mówi kronika kościelna, dowiedziawszy się, że sprawcami téj klęski byli patricii, to jest polacy. Szkodę, jaką wyrządził pożar, oceniono na przeszło 200,000 złotych polskich. To chyba za mało, chociaż złote dawniejsze więcej znaczą, jak nasze. Téj summy mogła być warta sama biblijoteka.

Król stał w Łowiczu wtenczas z wojskiem koronném. Tutaj w miesiąc po klęsce dochodziły go listy prowincyjała bernardyńskiego (19 lipca 1657). Zakon nie od szweda, ale od niego domagał się sprawiedliwości. Co mamy robić? pytał się króla prowincyjał. Jan Kazimierz odpisał z utyskiwaniami. Prowincyjał zwiedziwszy znowu rozwaliny kościoła, posłał szczegółową o nich informacją królowi: „Takić się wysługi doczekał ubogi konwent po dwustu latach, temi słowy narzekał przed synem Zygmunta III prowincyjał, takiego poszanowania fundacyja najjaśniejszych królów polskich i ciał świętych bożych w kościele tamiecznym deposita, na to ołtarze i obrazy świętych, na to żarliwy zelus obrońce niegdy hetmana polskiego ś-go Kapistrana.“ I dalej: „Czego się ręka nieprzyjacielska nie ważyła, to bezbożna swoich impietas bez potrzeby, ale mimo traktatów modo et insolentia indicibili wykonała.“ Kilka razy tak prowincyjał i klasztory poznański i warszawski przypominały się królowi i kancle rzowi koronnemu. Prócz tego wojewoda poznański Jan Leszczyński, jako syndyk prowincyi, zaniósł protestacją do grodu przeciw spaleniu kościoła i w skardze swojej wymienił nawet osoby, które myśl tę podały, które namawiały, paliły i rozkazywały palić, żądając na nich kary. Zdaje się jednak, że bezkarnie puszczono tę zbrodnię w odwłokę.

Tymczasem w r. 1660 wrócili zakonnicy do zgłiszcz warszawskich z innych klasztorów, i najprzód dom sobie mieszkalny wystawili, a roku następnego ze składek zaczęli budować kościół. Największą pomoc niósł im przy tém Jan Wielopolski kasztelan wojnicki przez dziwne nabożeństwo, jakie miał do Władysława z Gielniowa. Wziął on wprawdzie od gwardyjana Zygmunta Janowskiego ostatki sreber kościelnych, które sześć funtów ważyły, a złota wartości dukatów 168, ale to wszystko było polamane, w kawalkach, w okruchach, jak naturalnie po pogorzeli; ojcowie zbierali wszystko, wota i blaszki z pod zgłiszczy dobywali, żeby jaki taki znaleźć fundusz na odbudowę. Ale o czém mogli myśleć, jak sobie poradzić z taką lataniną? Wielopolski więc zabrał na własność te okruchy, ale za to zapewnił klasztorowi stały fundusz na odbudowę, miał mu albowiem dawać przez czas jakiś po 5000 złotych polskich co roku. Księża téż sami mocno się krzatali, a mianowicie Cypryjan Górski prefekt fabryki i Bonawentura z Mławy obrany gwardyjanem, chodzili po panych i zbierali składki, tak dalece, że w ciągu lat siedmiu nowy zupełnie stanął kościół. Górskiego i Mławczyka dla tego potwierdzano na nrzędach, żeby pilnowali roboty. Zaczęta w roku 1663, już podczas abdykacyi Jana Kazimierza ogromnie postąpiła, lubo mniejszą część jój wykończono. Dwa lata następne pod tym względem najważniejsze są. Ale gdy na cześć Wielopolskiego na sklepieniu i po ścianach to z gipsu, to z innych materyjałów piękną sztukateryją różne powyrabiano ozdoby, zwrócił ktoś z budujących na to uwagę, że sklepienie ciężaru wielkiego nie wytrzyma i że dla tego grozi niebezpieczeństwo, więc ozdoby te potem za radą biegłych usunięto, i podstawy nowe pod kościół założono głębiej i szerzej. Wielopolski umarł w lutym 1668, i tutaj jak mówi kronika, w przysionku kościoła pochowany, bez żadnej wystawności; napis tylko: „orate pro peccatore“ oznacza miejsce jego wiecznego spoczynku. Ze śmiercią jednak Wielopolskiego nie ustały dobrodziejstwa, bo dzieci jego dawały wciąż

na budowę kościoła, tak, że nakład cały Wielopolskich na ten cel wynosił złotych polskich 15,440 i bernardyni warszawscy powtarzają że kasztelanowi (potém wojewodzie krakowskiemu), słusznie należał się od nich tytuł patrona kościoła ś-ój Anny.

Ale Wielopolscyłożyli na ogólną odbudowę; o szczegółach i wykończeniu pamiętali inni. I tak kaplicę błogosławionego Władysława odnowiła rodzina Kretkowskich, którzy Kryskich dziedzicami byli. Później już dobrze biskup chełmiński Feliks Ignacy Kretkowski najregularniej dzień patrona tego mszą zawsze w kaplicy tutejszej obchodził przy ciałach przodków. Kiedy kanonikiem gnieźnieńskim był w Łowiczu, kiedy potém biskupem został, acz starzec przeszło ośmdziesięcioletni, nie opuścił nigdy jednego roku uroczystości błogosławionego Władysława i z Lubawy tu na celebrę zjeżdżał. Ołtarz ś-ój Anny odnowiło bractwo. Jędrzej Trębosz odźwierny królewski, dom zwany Zielazowskim na Przedmieściu krakowskiém, za czasów szwedzkich ogniem zniszczony zapisał na ołtarz ś-ój Anny, a konstytucja dar ten od wszelkich ciężarów wyjmując zatwierdziła (1667 Vol. Legum. V 485). Ołtarz wielki nie wiadomo kto odnowił. Było także w projekcie wystawić wspianą facyjatę kościoła. Jakiś nieznany dobroczyńca sprowadził na ten cel do Warszawy z łomów krakowskich płyty wielkie czarnego marmuru: wyrobione postumenta, kolumny i kapitele już czekały tylko czasu, żeby jaka wprawna ręka przyozdobiła niemi świąnią Pańską. Kronikarz zakonu warszawskiego ks. Kamieński oglądał to wszystko dzieckiem jeszcze w r. 1696, ale w lat kilkanaście potém jeszcze po korytarzach wały się płyty zepsute i zniszczone, większe - ktoś pozabięrał i projektowana facyjata przepadła. Na ostatku już pomysłano o muzyce, to jest organach. Dopiero za pierwszego Sasa stanął chór murowany, po nad wejściem do kościoła, a na nim organy poważnie zabrzmiały głosem uroczystym. Ojciec Antoni z Głogowy mając do pomocy braciszka Klemensa z Sierpska zaczął je stawiać, ale gdy gwardyjan, który popierał tę rzecz umarł, a za nim i organ-

mistrz życie zakończył, więc lektor ks. Żelewski wziął się do téj pracy i doprowadził ją do końca. Klemensowi ztąd cała stawa (1701—1707). Budownicza część i rzeźbiarska organu należały do braciszka Kleina. W ogrodzie w r. 1701 stanęły lazienki.

Podrósł w tym czasie i zakład naukowy, studium generale varsaviense, gdy na kapitule zakonu w Hiszpanii podniesiono je na stopień „studium primae classis“ (1676), czego warszawskim zazdrościli bernardyni poznańscy, którzy się o ten zaszczyt napróżno starali dla siebie. Nowicyjat ten błakał się w r. 1677 dla zarazy po różnych klasztorach, wreszcie do stolicy powrócił. Zdarzały mu się i późniéj takie wędrówki, bo zaraza często się srożyła; najczęściej przejeżdżał do Skępego, Ostrołęki, Wartemburga w Prusiech i Gniewa, mianowicie w czasie drugiej wojny szwedzkiej. Jednocześnie obalono przewagę gwardyjanów warszawskich i poznańskich, którzy w kustodyjach swoich przed wszystkiemi gwardyjanami miejsce brać chcieli (1678).

Było to już za czasów króla Sobieskiego. Zakon przyszedłszy do siebie, znowu około wyjednania czci publicznej dla swego błogosławionego starać się począł. Rzym na kapitułę jeneralną, która się odbywała w Warszawie (22 października 1678) udzielił zupełnego odpustu; kiedy elekeyje się odbyły, starszyzna więc o kaplicy Władysława radziła. Popierał tężecz szczególnież Kapistran Jankowski exprowincyjał: postanowiono kaplicę odnowić i pokryć ją dachówką. Dalej nowy obraz błogosławionego umieszczono w oltarzu (1695); malował go włoski artysta, koszt zaśłożył na to marszałek w. kor. Lubomirski. Król lubił téż braci zakonnych. Z ks. Stanisławem Orłowskim, który po dwa razy był tutaj gwardyjanem, żył nawet w bliższych stosunkach, bo mu raz na zawsze wstęp do siebie otworzył. Cieszył się król, rozkoszował nadzwyczaj miłym śpiewaniem bernardynów (*sonoroso cantu*). Nie raz król stawał w oknie zamku od strony kościoła, a gdy nocne wigilije lub *Te Deum* pośród modlitw porannych posłyszał, jak księża śpiewali, sam téż za niemi nucił Dawidowe psalmy.

Już to w ogóle król Jan III hardzo był pobożny i jak z bernardynami pieśni, tak u ś-go Jana na wotywie o Najświętszej Pannie którą zwaną literacką, a którą mieszczanie śpiewali, zawsze siedząc na tronie, głos swój z głosem pobożnych łączył. Kiedy król umarł, z samych hojnych jałmużn, które bernardyni otrzymali od Sobieskich za jedne wigilije i msze odprawiane przy ciele, gwardyjan Rafał Fiolkowiec mógł pokryć klasztor dachówką, i murem, drewnianą oponę z niego zruciwszy i jeszcze niektóre przedsięwziąć naprawy.

Po wielu przecież kłopotach i zawadach, po dwustu latach nieustannych starań, bernardyni zaczęli przecież zbliżać się do upragnionego celu. Dziwnie posłużyła im do tego wojna szwedzka. Wiadoma rzecz z dziejów, jak zaraza wtedy dziesiątkowała ludność i jakie ofiary zabierała w Warszawie. Nie było żadnego ratunku. Studium warszawskie bernardynów tułalo się znowu po jednych, nowicyjat zaś po drugich klasztorach. Z Ostrołęki gdzie zaraza dosięgła nowicyjat, bernardyni uciekli w lasy i chociaż to było na zimę, że w lasach bezpieczniej mieszkać mogli, pobudowali tam sobie budy i siedzieli przez cały czas ze zwierzętami, chodząc po wsiach, nauczając lud, udzielając świętych sakramentów (1710 — 1711). W stolicy mało zostało księży, a i to marło. Wprzódzy zanim się zaraza zbliżyła, pobożni udali się z prośbą do oficyny warszawskiego ks. Wierzbowskiego, żeby do trzech cenniejszych patronów miasta i obrońców od zarazy, dodał czwartego jeszcze świętego (tak go już powszechnie nazywano), Władysława z Gielniowa. Patronami temi byli: Najświętsza Panna łaskawa u pijarów, święty Roch w kościele ś-to krzyskim i Stanisław Kostka u jezuitów. Prosilili dalej pobożni, by na cześć tych świętych patronów i nowego, którego za patrona sobie wybierali, nakazał publiczne processyje i suplikacyje. Wierzbowski zezwolił na to, (18 kwietnia 1705). Stąd pierwsza processyja taka na cześć ś-go Władysława, z jego obrazem odbyła się po mieście od kolegiaty do bernardynów

w sam dzień dorocznój pamiętce jego poświęcony, to jest dnia 4 maja. Był to dzień śmierci błogosławionego. Trzy lata nie było nic słyhać o zarazie, aż w roku 1708 znowu pozwolił biskup Wierzbowski (27 kwietnia) na drugie także w dzień doroczny błogosławionego processyje i supplikacyje. I pierwszą i drugą razą nabożeństwo odbyło się z całą wystawnością i trwało zawsze przez całą okławę.

Process nowy o cudach rozpoczął Jan Tarło biskup poznański, jako wyznaczony do tego z Rzymu kommissarz apostolski i ks. Michał Barankiewicz exprowincyjał, który głównie wywołał tę kommissyją (1721). Dawniejszych procesów nie uznano w Rzymie za autentyczne. Teraz król, Teodor Potocki prymas i najcenniejsze postaci Rzeczypospolitej w sprawie zakonu przyjęły udział. Mimo to rzecz się wlekła i Tarło w r. 1729 drugi raz z ramienia swego wyznaczył delegatem do badań ks. Zachniewicza proboszcza Panny Maryi (12 kwietnia) w półtora miesiąca potem mógł już Barankiewicz do Rzymu wyjechać z gotowym processem. Jeszcze jedno bezkrólewie przeszkodziło. Ale razniej poszło za Augusta III, którego żona bardzo pobożna często bywała u bernardynów na mszy sama ze dworem lub z córkami (np. 5 lipca 1744 r.). Już publicznie tutaj odbywano oracyje na część Władysława, w których teologowie zakonu zwali go „patronus regni;” raz na uroczystym stał nabożeństwie celebrował Grzegorzewski officyjał, kazanie prawil Zdzieborski kanonik laterański, a w kościele znajdowali się: biskup łucki i pisarz lit. ks. Wołłowicz i t. d., do tego oracyją przyjmowała księżna wojewodzina rumska przed nieszporemi (4 maja 1747 r.). Kommissyją zakończono 31 marca 1748 r. hymnem 6-go Ambrożego; księża już mieli nowe listy od króla do Rzymu, które nadeszły z Dreżna i biskup poznański książę Czartoryski usilnie o kanonizacyją prosił. Nastąpiła wreszcie. Więc 3 sierpnia 1750 r. odbyło się pierwsze nabożeństwo na cześć 6-go Władysława, celebrowali Accoramboni kanonik warszawski i Szeptycki suffragan łucki, który śpiewał nowennę. Of-

tarz wielki przystrojono na ten dzień w cztery piramidy rzęsisto obstawione ślicznymi lampami w różne mienione kolory, toż w dwa kolory świece jarzące paliły się po nad świętego obrazem: sława też nad nim koronę trzymała z napisem: „Augusti votis Augusta corona beato cessit in urbe orbis.“ Królowa i moc ludu znajdowała się na tém nabożeństwie (3 sierp. 1750). W lat trzy potem odprawiała się tutaj wotywa dziękczynna za wyrok pomyślny przez Stolicę apostolską wydany w sprawie błogosławionego (19 sierpnia 1753 r.). Ojciec święty uznawał albowiem skromnego zakonnika patronem Polski i Litwy i doroczną uroczystość jego podnosił do pierwszego stopnia święta, bo nakazał obchodzić ją z oktawą. Bernardyni opóźniali się cokolwiek z tém nabożeństwem dla tego, żeby jednocześnie mogli obchodzić jubileusz trzechsetletniego pobytu w Polsce. Relikwie błogosławionego wtedy w srebrną trumnę przełożono. Odtąd na doroczny fest corocznie tutaj biskupi celebrowali (np. Ostrowski infl. 26 września 1756 r. i t. d.).

Nie temi jedynymi nabożeństwami odznaczała się wśród kościołów warszawskich za panowania królów z domu saskiego nasza piękna świątynia. Wiek to był cały dziwnie nastrojony ku nabożeństwu, więc co chwila obchody, pamiątki, uroczystości, które zajmowały duchowieństwo i lud warszawski opierały się to o inne kościoły, to o bernardynów. Bractwo ś-jej Anny ze składek sprawiało nowe dzwony, na co nawet aż długi zaciągnęło, ale chciało za to i postawiło na swojem, że dzwony te najpiękniejszym odzywały się głosem po przedmieściu. Raz dzwony te poświęcał w dzień ś-go Władysława sam biskup Tarło (4 maja 1721 r.), przy obecności wielu senatorów, drugi raz podobna uroczystość odbyła się 1728 r. Potem następują uroczystości wprowadzenia kilku bractw. Najcelniejsza z nich było to wprowadzenie bractwa ś-go Jana Nepomucena do bernardynów z kollegijaty: celebrował na głównej processyi sufragankujawski ks. Kobielski (4 października 1732 r. wprowadzone,

a nazajutrz uroczyste nabożeństwo). Inną razą wprowadzał z kolegiaty do bernardynów bractwo drogi Krzyża 6-go sławny założyciel biblioteki ks. referendarz Załuski (23 czerwca 1743 r. w niedzielę), niesiono wtedy na processyi czternaście obrazów tajemnic męki Pańskiej. Wspaniały też był obrzęd wprowadzenia nowych kilku kanonizowanych świętych z kościoła jezuickiego do bernardynów (8 października 1724 r.). Zawsze na takich uroczystościach celebrował biskup lub jaki inny członek wysokiego duchowieństwa znaczący wiele i w Rzeczypospolitej: towarzyszyły mu bractwa, cechy i niezliczone masy ludu, a dla większej powagi przed biskupem szły zakony, za którymi postępowali kanonicy i pralaci kolegiaty w kapach fioletowych. Inne bractwa w tym czasie zawiązywały się przy kościele bez uroczystych wprowadzeń. Tak cech kowalów został bractwem religijnem i obrał sobie oltarz świętego Stanisława (1726 roku). Z jednem tylko bractwem 6-ém Anny odzywały się czas od czasu niesnaski z powodu, że samo bractwo rządzić się chciało: ścieśniało władzę promotora, którym był zawsze naturalnie jakiś zakonik bernardyński; w spory te wdawał się nawet konsystorz (1700).

Nareszcie do tyłu pamiątek kościoła naszego płaczą się wspomnienia dysput. Jezuici litewscy przez szacunek, jaki mieli dla bernardynów wyprawili w ich kościele panegiryk na cześć 6-go Bonawentury (14 lipca 1726 r.), a kiedy za to wdzięczność serafickiego zakonu ich spotkała, już odtąd co roku w dzień tego świętego odbywali tutaj publiczne dysputy. Wtedy i o. Mateusz Roznerski exprowincyjał mieszkający przy klasztorze przy pomocy dobrodziejów zajął się upiększeniem domu bożego. Miał zakon artystę w gronie swoim Walentego Żebrowskiego, który już cztery kościoły w prowincyi odmalował, tego Roznerski do Warszawy sprowadził i dał mu nową robotę. Księża Żebrowskiego są te wszystkie malowidła wewnętrzne kościoła, które widzimy; malował je 1750 — 1753 r. Drugi bernardyn zrobił w zakrystyi piękne szuflady i tablaturę. Roznerski skończywszy jedno

już wtedy myślał o nowym organie, ale gdy umarł, o. Józef Górski exprowincyjał i gwardyjan tutejszy, sławne w całej Polsce wystawił organy.

Dobrodziejami klasztoru z tego czasu byli: książę Jerzy Lubomirski, wojewoda krakowski, który dziesięć tysięcy złotych zapisał na budowę facyjaty, ale funduszu tego inaczej zgromadzenie użyło. O facyjacie też i odnowieniu całego klasztoru myślała ordynatowa Zamojska założycielka na Marywilu kanoniczek; nabywszy albowiem ową część gruntu od bernardynów, którą niegdyś Kazanowskiemu ustąpili, wystawiła na nim pałac i poczuwała się ztąd do pewnych obowiązków względem klasztoru. Była to prócz tego wielka czcicielka ś-go Władysława, i stąd po 150 dukatów z gruntu onego płaciła na kosztą jego kanonizacyi; chociaż umarła, zobowiązanie zostało i najprzód Małachowski kanclerz, potem ksiądz Młodziejowski, obadwaj posiadacze pałacu, po 150 czerwonych złotych klasztorowi płacili. I Małachowski i Młodziejowski byli syndykami bernardynów, jeden po drugira w téj godności nastąpił, lubo cztery lata za ostatniarazą wakowała. Młodziejowski obrany został syndykiem w r. 1766; instrument elekcyi wręczony mu został ze zwykłą uroczystością w pałacu Krasieńskich w obec wielu panów (21 stycznia 1766 r.). Później kiedy został Młodziejowski biskupem poznańskim, do kolegiaty ś-go Jana od bernardynów był wprowadzany (23 czerwca 1768 r.).

Za króla Poniatowskiego nabożeństwami tylko swemi i pamiątkami dotąd wstawiony kościół nasz, stał się eleganckim wielkiego świata kościołem, ale mu nie bardzo bywało z tém do twarzy. Najwyszukańsza magnateryja stolicy, po największej części elegancka zarazem i bezbożna, karetami zajeżdżała wtedy przed bernardynów w niedziele i święta. Wracając lub jadąc do zamku, świat wielki raczył po drodze dla mody i zwyczaju pokłonić się Panu Bogu na tak zwaną wtedy *belle messe*, *messe musquée*, która się odbywała między jedenastą a dwunastą zrana. Szeregi powozów zajmowały wtedy daleko przedmieście, a w kościele

tyczasem brzmiały z chóru dobrana muzyka złożona z głosów płci pięknej i modnej młodzieży. Jednakże z téj massy pobożnych niby panów, jeden tylko Stanisław Potocki pomyślał o tém, o czém już tylu myślało, to jest o przyozdobieniu facyjaty kościoła, a nawet i ten pan nie byłby wytrwał w przedsięwzięciu, bo składka, którą zebrał pokazała się niedostateczną, gdyby nie czynna pomoc ku temu Kwiecińskiego, jednego z mieszczan warszawskich, i poparcie króla Stanisława Augusta. Aigner tedy zaczął kosztem ich przerabiać facyjatę kościoła (1778—1788), a Kwieciński jeszcze sam domurował zaraz z brzegu od wejścia kaplicę Najświętszej Panny Sokalskiej, i wyznaczył fundusz dla ogrzewania jéj w czasie zimy; napis łaciński nad podwojami kościoła uwiecznił tę ostatnią pamiątkę trzech głównych nakładców facyjaty. Stany Rzeczypospolitej w tymże czasie pozwoliły żeby starosta warszawski ustąpił na własność klasztorowi włókę lasu z dóbr królewskich pod Grodziskiem, i wszelkie bernardynów posiadłości w Warszawie zatwierdziły (1778 Vol. Leg. VIII, 284).

Prusacy założyli przy kościele odwach. Co później było powodem, już za czasów królestwa polskiego, że Aigner na wezwanie Rządu nadał dzwonnicy kształt architektury XV wieku, i że nieforemną ścianę klasztoru po nad tym odwachem przykrył galeryją jońskiego porządku wybornego smaku z łazien Marcella naśladowaną (1818).

Później przybyło wiele nowéj a świętój ozdoby kościolowi przez Loret. Jeszcze w r. 1811, kiedy klasztor bernardynów, zabudowany na Pradze przez Władysława IV, miał być rozebrany, przeniesiono tutaj do Warszawy obraz Najświętszej Panny Loretańskiej i jako najdroższy klejnot złożono w skarbcu kościelnym. Upłynęło tak lat jedenaście, wreszcie pobożni, którzy za pośrednictwem Bogarodzicy łask wielu doznali, postanowili zbudować na jéj cześć osobną u bernardynów kaplicę, ubolewając nad tém, że tyle przywilejów do świętego obrazu przywiązanych marnie ginęło. Uroczystość przeniesienia obrazu na ołtarz, który takim spo-

sobem stanowił piérwszy zawiázek kaplicy dopełnił Daniel Ostrowski biskup Betsaidy (23 listopada 1822 r.). Następnie zawiązało się bractwo Sodalistwa laterańskiego, któremu Leon X nadał odpusty i przywileje (10 września 1824 r.). Piérwsza składka na zbudowanie kaplicy złożona na ręce promotora kaznodziei miejscowego, wynosiła ledwie 2000 złotych. Drugi już z kolei promotor i kaznodzieja ks. Franciszek Morański polecił fundamenta pod kaplicę w r. 1830, a w r. 1833 zwałowo około budowy krzątać się począł. Znakomity fundusz na ten cel przeznaczył bardzo pobożny i czcigodny starzec Jan Kolumna Żaboklicki mistrz obrzędów dworu królestwa polskiego; starsi sodaliści chętną pomoc głównemu dobroczyńcy nieśli. Statuę Najświętszej Panny, którą postawiono po nad nową kaplicą Loretu, dzieło rzeźbiarza Czajkowskiego poświęcił ks. Franciszek kaznodzieja (18 września 1836 r.), w obec licznie zgromadzonego ludu, który niósł chętnie składki. Wreszcie i cała kaplica stanęła (1837). Wtedy z polecenia areybiskupa Choromańskiego ks. Antoni Kotoski officyjał i dziekan metropolitalny kaplicę i oltarz poświęcił i piérwszą w niej mszę celebrował (14 sierpnia 1837 r.), a nazajutrz sam areybiskup otoczony kapitułą, w obec kilkunastu tysięcy ludu, z uroczystą processyją statuę Matki Boskiej Loretańskiej, przeniósł do nowój kaplicy.

Żyjący jeszcze ks. Franciszek Morański z kolei gwardyjan, prowincyjał, a dzisiaj zasłużony ojciec w zakonie, oprócz téj jednéj pamiątki, a pamiątki świetnéj, w historyi kościoła warszawskiego będzie piérwszego rzędu znakomitością. Nieposiadając do tego żadnych zasobów, postanowił odnowić cały kościół, ile że od ostatniój naprawy lat sto upływało. Rzeczywiście czas też było; wiązania się rwały, na wieżę woda przeciekała, stąd dzwony znacznej wielkości groziły niebezpieczeństwem. Kościół zarty w ozdobach swoich, obnażony w wielu miejscach z tynków i organ zrujnowany, smutny przedstawiały widok. Zwierchność zakonna z boleścią patrzyła na nieuchronny kościoła upa-

dek. Kiedy rząd w r. 1843 z przed kościoła niedogodne baryjery usunąć kazał, a chodnik po tej stronie ulicy pokrył smolowcem i facyjatę odnowił, ks. Morański o restauracyją kołatać zaczął. Na skutek czego w r. 1846 gmachy frontowe zupełnie wyporządzone i cały kościół ślicznym kamiennym kolorem obciągnięty został. Ks. Morański nie przestał na tém i przez biskupa administratora Chmielewskiego podał prośbę do tronu o wsparcie na odbudowę wewnętrzną kościoła. Nadzieja nie omyliła zacnego starca. Z funduszu, który tą drogą pozyskał, w kwietniu 1848 r., rozpoczął ks. Morański fabrykę, aiegdy w ciągu jéj odkryło się wiele nieprzewidzianych potrzeb, których pominąć nie było można, o kilkanaście tysięcy zadłużył się klasztor różnym artystom i fabrykantom, co potém dobrodzieje składkami pokryli. W dzień ś-go Władysława z Gielniowa tegoż roku, jako w odpust, dnia 24 września kościół otworzony został, a jak zwykle, tak i wtenczas na tę uroczystość przybyła gromadka pobożnych pielgrzymów z Gielniowa. Summę celebrował rektor akademii duchownej a kazanie mieli ksiądz Przewłocki rano, a ksiądz Benwenuty Mańkowski kaznodzieja miejscowy na nieszpórach.

Za staraniem téż ks. Morawskiego otrzymał kościół warszawski księży bernardynów przywilejei odpusty od Stolicy apostolskiej dla arcyclbractwa Najświętszego Niepokalanego Serca Maryi przy tymże kościele związanego. Nowy to był przywilej dla kaplicy Loretańskiej i stąd nowe nabożeństwo odprawiane co soboty (od 10 czerwca 1843 r.).

Kaplica Najświętszej Panny Sokalskiej zbudowana w r. 1788 p. Kwiecińskiego aż do roku 1847, w pierwotnym swoim stanie przetrwała. Dawny pułkownik polski Jan Fiedorowicz zgłosił się wtedy do ks. Morańskiego, że chce kaplicę odnowić własnym kosztem. Ofiarę tę naturalnie przyjęto i pułkownik ciągle kaplicę utrzymywał.

Nagrobków kościół bernardynów warszawskich żadnych nie

posiada, choć prochy wielu znakomitości w nim spoczywają. Na ścianie kościoła obok zaraz kaplicy Loretańskiej jest tylko płyta marmurowa, położona na cześć Heleny z Pokrzywnickich Gomolińskiej podkomorzyny łęczyckiej, matrony, która w Warszawie w d. 31 grudnia 1808 r., w roku życia 92 zakończyła życie.